



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci

Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.

Król Przestrzeni.

Ostatnia powieść **Juliusza Verne'a.**

Przekład M. P.

(Ciąg dalszy.)

— Wulkan lub nie, mniejsza o to! — wtrąciłem, — dosyć, że w chwili obecnej nie daję powodu do żadnych obaw. Nie dostrzegliśmy nigdzie dymu ani płomieni, nie słyszeliśmy huku podziemnego, nie uczuwalimy żadnego wstrząśnienia.

Istotnie na Great-Eyry panowała zupełna cisza i pustka, jak zwykle na tak znacznej wysokości. Nie widzieliśmy żadnych śladów życia. Tylko kilka ptaków drapieżnych krążyło ponad szczytem.

Była już godzina trzecia, kiedy pan Smith odezwał się tonem zirytowanym.

— Nawet, gdybyśmy zostali tutaj do wieczora, nie dowiemy się niczego więcej. Wracajmy zatem, jeżeli chcemy w Pleasant-Garden stanąć przed nocą!

Milczałem, nie ruszając się z miejsca. W końcu jednak musiałem się zdobyć na rezygnację i pójść za towarzyszami podróży. Bóg jeden wie, ile mnie to kosztowało!

Powrót był dużo łatwiejszy i mniej męczący. Przed piątą jeszcze przybyliśmy do fermy Wildon, gdzie czekali nas z obiadem.

O pół do dziesiątej zaś powóz nasz zatrzymał się przed domem mera w Pleasant-Garden, według programu mieliśmy tutaj przenocować. Długo nie mogłem zająć, rozmyślając nad tem; czy nie należałoby przedsięwziąć nazajutrz nowej wyprawy. Czyż jednak miałyby ona jakiegolwiek widoki powodzenia?... Stanowczo rozsą-

dniej było wrócić do Waszyngtonu i zapytać o decyzję pana Warda.

Nazajutrz wieczorem przybyliśmy do Morgantonu; opłaciłem przewodników, pożegnałem pana Smitha i pośpiesznym pociągiem udałem się do Raleigh.



Nieszczęśliwi przejezdni znajdowali się w mgnieniu oka w przydrożnych rowach. (str. 342).

ROZDZIAŁ IV.

Konkurs klubu automobilistów.

We dwa tygodnie po moim powrocie do Waszyngtonu ciekawość ogółu obudził fakt inny, równie tajemniczy i niezwykły, jak zjawiska na Great-Eyry, fakt, który się powtórzył w kilku miejscowościach Pensylwanii. W połowie maja dzienniki rozpisywały się o nim szeroko.

Od niejakiego czasu w pobliżu Filadelfii, krążył dziwny wehikuł, który się tak szybko przemieszczał z miejsca na miejsce, że nikt nic pewnego powiedzieć nie mógł o jego rozmiarach, rodzaju i kształcie. Jedno nie ulegało wątpliwości, że był to samochód. Lecz jaki motor go poruszał?

W owej epoce najdoskonalsze automobile, niezależnie od tego, czy wprawiała je w ruch para wodna, nafta lub elektryczność, przebiegały sto trzydzieści kilometrów na godzinę, t. j. około półtorej mili na minutę, czyli mniej więcej tyle, ile pociągi pośpieszne na najlepiej urządzonych liniach kolejowych Europy i Ameryki.

Szybkość zaś tego nowego samochodu była stanowczo dwa razy większa.

Oczywiście, że stanowił niebezpieczeństwo poważne dla jezdnych i pieszych. Przyrząd tak niezwykły, poruszający się z bystrością niesłychaną, zjawiał się nagle niby piorun, poprzedzony hałasem strasliwym i kłębami kurzu; przerzynał powietrze z taką gwałtownością, że się łamały gałęzie drzew, przerażone trzody rozbiegały się z pastwisk, spłoszone ptactwo rozlatywało się na wszystkie strony, a nieszczęśliwi przejezdni znajdowali się w mgnieniu oka w przydrożnych rowach.

Dzienniki podnosiły jeszcze jeden szczegół zdumiewający: oto koła dziwnego przyrządu nie wrzynały się w szosę, nie tworzyły kolei, zaledwie pozostawiały jakiś ślad lekki, niewyraźny, niby muśnięcie.

— Widocznie szybkość tak nadzwyczajna znosi ciężar — pisał *New-York Herald*.

Z rozmaitych miejscowości Pensylwanii dochodziły protesty, głosy oburzenia. Czyż można pozwolić, aby po drogach Ameryki bezkarnie kursował wehikuł, który innym powozom oraz pieszym grozi zmiążdżeniem? W jaki sposób jednak zaradzić złemu? Nie wiedziano do kogo tajemniczy samochód należy, ani dokąd dąży, ani skąd przybywa. Dostrzegano go przez jedną sekundę zaledwie, kiedy z szybkością zawrotną niby pocisk armatni przerzynał powietrze. O motorze, poruszającym ten dziwny przyrząd, również nie miano najłżejszego pojęcia, ponieważ jednak nie pozostawiał on żadnych śladów dymu, pary, nafty lub jakiegokolwiek oleju skalnego, wnioskowano iż porusza go siła elektryczności; przypuszczano nawet, że akumulatory nowego systemu gromadziły jakiś prąd niewyczerpany.

Podniecona wyobraźnia chwytła się hipotez najnieprawdopodobniejszych, byle tylko znaleźć odpowiedź na niepokojące ogół pytanie: do kogo należy ten wóz tajemniczy?

Gubiono się w domysłach. Niektórzy przypuszczali, że kieruje nim jakaś siła tajemnicza, jakieś widmo z innego świata, palacz „z piekła rodem“, potwór mitologiczny, a nawet dyabeł we własnej osobie, Belzebub, Astaroth, hardo wyzywający ludzkość, zbrojny w nieograniczoną niewidzialną potęgę szatańską.

Lecz nawet sam szatan nie miał prawa rozbijać się z taką szybkością po drogach Stanów Zjednoczonych bez zezwolenia zwierzchności, bez numeru, wbrew obowiązującym przepisom. Zresztą żaden zarząd miejski podobnego zezwolenia by nie udzielił. Należało zatem obmyślić środki celem powstrzymania zapału tajemniczego automobilisty.

Tymczasem rozniosła się wieść, że nie tylko Pensylwania służy za welodrom dla tak niezwykłych popisów sportowych. Raporty policyjne donosiły, że tajemniczy wehikuł ukazał się w Kentucky, w Ohio, w Missooui, w Tennessee, nawet w Illinois i to w pobliżu Chicago!

Ostrzeżeń więc ze strony policyi nie brakło. Władze miejskie zajęły się obmyśleniem środków zapobiegających niebezpieczeństwu. Powstrzymać samochód, pędzący z taką szybkością było niepodobieństwem. Należało więc chyba ustawić na drodze przeszkody, o które mogłyby się rozbić.

— Czy nie zdoła jednak tych przeszkód usunąć? — odpowiadali więcej nieufni.

— Albo przez nie przeskoczyć! — dodawali inni.

— Jeżeli to dyabeł, ma przecież skrzydła i potrafi się unieść w powietrzu.

— Ba! gdyby miał skrzydła — mówili jeszcze inni — czyżby nie wolał szybować w przestworzach zamiast pędzić po ziemi?!

W końcu maja wszystkie wieści niepokojące ucichły. Tajemniczy samochód nie ukazywał się i przestano się nim zajmować.

W tym czasie klub automobilistów w Wiskonsinie postanowił urządzić wyścigi. Do tego celu nadawała się wyśmienicie długa a prosta jak wystrzelił, szosa wiodąca od Prairie-du-Chien, t. j. od zachodniej granicy Stanu aż do Milwaukee, portu nad Michiganem.

W konkursie miały wziąć udział wszystkie najwięcej znane firmy amerykańskie i europejskie. Najrozmaitsze systemy motorów miały prawo ubiegać się o nagrody, z których najmniejsza wynosiła 50000 dolarów. W Prairie-du-Chien stanęło więc czterdzieści najrozmaitszych samochodów, poruszanych za pomocą pary, nafty, alkoholu i elektryczności.

Biorąc pod uwagę maximum szybkości, to znaczy od 130 — 140 kilometrów na godzinę, obliczono, że wyścig ten międzynarodowy trwać może najwyżej trzy godziny. Przestrzeń bowiem, którą należało przebyć, wynosiła dwieście mil. Dla uniknięcia możliwego niebezpieczeństwa władze Wiskonsinu wzbroniły osobom prywatnym wszelkiego ruchu w dniu 3-go maja rano na drodze, wiodącej od Prairie-du-Chien do Milwaukee.

Tysiące ciekawych, nie tylko z Wiskonsinu i ze Stanów sąsiednich, lecz nawet z dalszych krańców Ameryki, ba! nawet z Europy, zbiegło się na ten wyścig międzynarodowy.

Stosownie do zwyczaju, rozwielnionego w Stanach Zjednoczonych, stawiano liczne zakłady, kto zwycięży na konkursie. W tym celu powołały się nawet osobne agencje w rodzaju totalizatora.

O godzinie ósmej zrana dano hasło do odjazdu. Samochody, wybierane przez losowanie, miały wyruszać jeden po drugim z przerwą dwuminutową.

Po obu stronach drogi stali agenci policyjni, utrzymujący porządek i liczni widzowie. Najwięcej ciekawych zebrało się w Madisonie, stolicy Wiskonsinu i w Milwaukee.

Upłynęło półtorej godziny. W Prairie-du-Chien pozostał jeden tylko automobil. Dzięki telefonom, co pięć minut otrzymywano nowe wiadomości, w jakim porządku pędzą samochody. Naprzód wysunął się przyrząd firmy Renault Synów; tuż za nim pędził Harvard-Watson i Dion-Bouton. Zdarzyło się już kilka wypadków, motory źle funkcjonowały, niektóre samochody ustały w drodze, przypuszczano, że zaledwie dwańście dojdzie do Milwaukee. Na szczęście ludzi ciężko rannych nie było. Zresztą w Ameryce nawet śmierć nie wywiera wielkiego wrażenia.

Łatwo zrozumieć, że ciekawość i roznamienienie tłumów wzrastało w miarę zbliżania się do Milwaukee.

Na zachodnim wybrzeżu Michiganu wznosił się wysoki słup, przystrojony we flagi międzynarodowe. Był to cel wyścigów.

Już po dziesiątej-godzinie stało się widocznem, że o główną nagrodę — dwadzieścia tysięcy dolarów — ubiegać się może tylko pięć samochodów: dwa amerykańskie, dwa francuskie i jeden angielski. Łatwo można sobie wyobrazić, jak gorączkowo stawiano ostatnie zakłady. W grę wchodziła tu miłość własna narodowa. Stawki podawano co chwilę. Zdawało się, że przeciwnicy gotowi są skoczyć sobie do oczu.

— Stawiam za Harvard-Watsonem!

— A ja za Dion-Bouton'em.

— A ja za Braćmi Renault.

O pół do dziesiątej, mniej więcej w odległości dwu mil od Pleasant-Garden, rozległ się

strasliwy hałas, jak gdyby bieg kół powozu, pędzącego z szybkością nadzwyczajną: towarzyszył mu przeciągły gwizd maszyny.

Ciekawi zaledwie zdążyli usunąć się z drogi. Jakiś obłok przemknął szybko niby trąba powietrzna i zniknął, zostawiając po sobie długi tuman białego kurzu. Szybkość tego samochodu można było obliczać na 240 kilometrów na godzinę.

Widocznem było, że w przeciągu godziny wyprzedzi wszystkie pięć automobilów i pierwszy stanie u celu.

Ze wszystkich stron podniosły się głośnie okrzyki.

— To chyba maszyna piekielna, o której przed kilku tygodniami wspominały dzienniki!

— Ta sama, która przebiegła Illinois, Ohio, Michigan i której policya nie zdołała zatrzymać!

— Sądziłem, że już znikła z widowni na zawsze!

— To chyba wóz dyabelski, ogrzewany ogniem piekielnym, prowadzony przez szatana.

Jakaż istota ludzka kierować mogła takim przyrządem niezwykłym z tak zadziwiającą szybkością?...

Gdy pierwsze zdumienie minęło, przezorniejsi pośpieszyli zatelefonować do wszystkich stacyi, ostrzegając ścigające się samochody o grożącym niebezpieczeństwie.

Oczywiście musiano zaprzestać walki o nagrodę, wyznaczoną przez klub. Zadziwiający wehikuł wyminął inne automobile z taką szybkością, że nikt się przypatrzyć nie mógł jego kształtowi, i rozmiarom; opowiadano tylko później, że przypominał nieco wrzeciono, długie na dziesięć metrów. Nie pozostawił za sobą ani śladu dymu, pary lub jakiegś woni.

Konduktora nie widziano wcale. Największe wzburzenie panowało w Milwaukee. Ktoś zaproponował ustawienie przeszkody, o którą by się ten przyrząd niezwykły rozbił na drobne cząsteczki. Czy starczy na to czasu. Tajemniczy wehikuł mógł się ukazać lada chwila. Zresztą i tak zmuszony będzie powstrzymać swój bieg szalony: droga przecież kończyła się nad brzegiem Michiganu.

Podobnie jak w Prairie-du-Chien, tworzone najdziwniejsze przypuszczenia co do istoty przyrządu i zagadkowego palacza, których oczekiwano z niecierpliwością gorączkową.

Trochę przed jedenastą usłyszano jakiś huk, jakby turkot odległy i ujrano ślimakowate kłęby dymu. Ostry gwizd raz po raz przerzywał powietrze, nakazując usunięcie się z drogi przed nieznany potworem, który biegu nie zwalniał. A jednak jezioro było już tylko o pół mili..

Czyżby mechanik nie stał na wysokości swego zadania?...

Z szybkością błyskawicy wehikuł wpadł do Milwaukee, przebiegł miasto i znikł bez śladu... Czyżby go pochłonięły fale Michiganu?...

ROZDZIAŁ V.

W zatoce Bostońskiej.

Kiedy po niefortunnej wyprawie na Great-Eyry wróciłem do Waszyngtonu, pana Warda nie było w mieście. Wyjechał na kilka tygodni z powodu interesów rodzinnych. Niewątpliwie jednak wiedział o mojem niepowodzeniu, dzienniki bowiem Karoliny Północnej natychmiast podały sprawozdanie szczegółowe z naszej wycieczki.

Znajdowałem się w stanie niezwykłego rozdrażnienia, do jakiego doprowadziła mnie upokorzona ambicya i niezaspokojona ciekawość.

Nie chciałem się wyrzec nadziei, że przyszłość przyniesie mi rozwiązanie tak niepokojącej zagadki. Muszę posiąść tajemnicę Great-Eyry, chociażbym dziesięć, dwadzieścia razy miał rozpocząć próby!...

Najrozsadniejsze pomysły przychodziły mi do głowy. Wzniesienie rusztowania aż do wierzchołka skalistego zrębu... przebicie boków przez niedostępne głązy... wszystko to było rzeczą zupełnie możliwą... Nasi inżynierowie codziennie podejmują się zadań trudniejszych.. Czyż jednak w tym wypadku opłaciłyby się wydatki, któreby mogły być obliczone na tysiące dolarów?... Za tę cenę można było uzyskać tylko zaspokojenie ciekawości publicznej... gdyby bowiem nawet okazało się, że Great-Eyry jest wulkanem, jakaż siła powstrzymałaby jego wybuch i usunęła grożące niebezpieczeństwo.

Nie marzyłem nawet o przedsięwzięciu robót na rachunek osobisty... Na zbytek podobny mógłby sobie pozwolić chyba jakiś Astor, Vanderbilt lub Pierrepont-Morgan! Lecz im to nie w głowie! Gdyby chodziło o miny złota daliby się może nakłonić, lecz teraz!..

15-go czerwca rano pan Ward wezwał mnie do siebie i przyjął bardzo łaskawie.

— Jak się pan miewa, biedny panie Strock? Cóż, nie udało się panu?

— Niestety, wyprawa moja była równie bezowocną, jak gdybym się był pokusił o zbadać powierzchnię księżyca.

(d. c. n.)

Gospodarstwo mrówek.

(ciąg dalszy).

1. Powstanie nowej osady.

Nowe mrowisko zakłada zwykle jedna tylko mrówka. Porzuciwszy rodzinne swe gniazdo, skąd wyleciała w dzień jasny, pogodny, aby spróbować skrzydeł i pobujać w powietrzu wśród skrzydlatych towarzyszy, — upatruje młoda matka miejsce, odpowiednie na założenie nowej osady.

Znalazłszy je, obłamuje sobie wtedy skrzydła, gdyż odtąd nie będzie miała czasu na zabawy, i kopie w ziemi gniazdo niewielkie. — Tam składa jajeczka.

Wkrótce wylęgają się z nich i wyrastają bezskrzydłe robotnice i te, nie tracąc czasu, za-



Mrówki, karmiące swoje liszki.

bierają się zaraz do pracy: powiększają mieszkanie, kopiąc nowe komory, połączone między sobą wązkimi przejściami, niby galeryami.

Galerye te i komory ciągną się w dużych osadach do 15-u stóp w głąb ziemi i tworzą od 20-u do 40-u pięter, a zbudowane są silnie; liczne słupy podtrzymują sklepienia górne.

Matka składa teraz coraz więcej jajeczek, lecz troska o wychowanie potomstwa spada już wyłącznie na barki robotnic.

Ujawszy łapkami świeże jajeczka, robotnice oblizują je starannie i przenoszą do przygotowanych w tym celu komórek.

Wylęgnięte z nich po dwóch tygodniach liszki wymagają jeszcze większych trudów. — Są to białawe, nieruchome robaczki, ślepe, beznogie, wyglądają jakby owinięte w pieluszki, z których widać zaledwie główkę. Same jeść nie umieją, więc, jak pisklęta, z otwartym pyszczkiem czekają, aż je nakarmi ich opiekunki

MAŁY BOHATER.

W ośmnastem stuleciu, w Niemczech, mały chłopczyk, syn hrabiego Zinzendorfa zadziwiał wszystkich niezmierną swoją dobrocią.

Pewnego razu, gdy bawił się nad brzegiem głębokiej rzeki, płynącej obok zamku jego rodziców, ujrzał gołąbka, walczącego z bystrą wodą. Gołąb napróżno usiłował się poderwać i frunąć: widocznie skrzydło miał zranione lub złamane.

Wzruszony tym widokiem chłopczyk, nie widząc nikogo w pobliżu, ktoby mógł mu dopomóc, pobiegł na wybrzeże, gdzie w płytkiej zatoczce praczka zamkowa moczyła balię. Wskoczył w nią i, wzięwszy długi drażek, odbił na

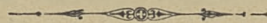
żnem błocie, przemoczony, obmokły, przyciskając dopiero co uratowanego gołąbka.

Matka porwała dziecko w objęcia, i całując, spytała:

— Nie bałeś się chyba, kiedyś się odważył na taką niebezpieczną wyprawę?

— Bałem się i nawet bardzo, mamol — odrzekł szczerze mały. — Ale tak mi żal było gołąbka! Nie mogłem patrzeć na jego mękę i pozwolić, żeby utonął w moich oczach...

B. Buyno.



Czego się kurczątka bały.

Kukuryku! Kukuryku!
 Wiele tutaj wrzawy, krzyku,
 Wiele pisku i świergotu,
 A najwięcej, ach, kłopotu!
 Bo kurczątek rzesza cała
 Dziś na spacer się wybrała
 A to małe, nieporadne!
 Gdzie iść trzeba nie wie żadne,
 Rozbiegają się dokoła,
 Darmo mama-kura woła.
 A zaś kogut, sam na płocie,
 Przygląda się tej robocie.
 Miast się zająć kurcząt losem
 Śpiewa sobie pełnym głosem.
 Na podwórku też od rana,
 Mała Zosia, nieubrana,
 Nieczesana i niemyta,
 A co więcej i nie syta,
 Bo jest dotąd bez śniadania,
 Wciąż kurczątka swe zagania,
 Nawołuje krzyczy, prosi...
 Ale nie słuchają Zosi.
 Uciekają od niej żwawo,
 To na lewo, to na prawo.
 — A wiesz czemu? — niania pyta —
 Bo Zosieńka nieumyta
 Jakby strach wygląda jaki,
 A więc boją się jej ptaki.

.....
 Powiedzcież mi moi, mili,
 Czy się niania w tem nie myli?
 Bo ja, przyznam wam się szczerze,



wodę, kierując się ku walczącemu ze śmiercią ptakowi. Istnym cudem udało mu się pochwycić go; włożył ptaka pod ubranie na piersiach, i zawrócił ku brzegowi, a choć prąd unosił balię, dobił szczęśliwie, w pewnej odległości od zamku.

Z okna zamku matka jego zobaczyła dziecko, płynące w balii na głębokiej wodzie. Zwołana przez nią służba podążyła na ratunek, lecz już mały bohater stał bezpieczny w nadbrze-

Chętnie słowom jej uwierzę,
Gdy dziewczynka nieumyta,
Będę się jej bać — i kwita!

Irena Mrozowicka.



CZARODZIEJSKI BÓR

Fantastyczny obrazek sceniczny w I-iej odsłonie.

(Dokończenie.)

Świerszcz. O, tak, bo wyobraź sobie, że z tej uosobionej powagi trzpiot wielki: cztery mile za Warszawą bawiła się na hucznym weselu.

Złota sarenka. Wielka szkoda, że u nas smutek w rodzinie i weselić się nie możemy.

Motyl. Nie warto smucić się, z czasem wszystko pójdzie dobrze.

Czapla. Ciesz się raczej, że u nas znalazłaś przyjaciół.

Złota sarenka. O, przepełnione mam dla was serce wdzięcznością. Żeby tylko ludzie nic złego nie uczynili Łaciatce, ona z trzech sióstr najmniejsza, najmłodsza, najślabsza, mała pie-szczoszka.

Grzyb. Nic jej nie będzie. Chcecie, będę wam dalej opowiadał nasze dawne dzieje?

Wszyscy. Chcemy! chcemy!

Grzyb. A przed laty, przed wielu,
Było ptactwa wiele
A pan orzeł, jako król,
Wyprawiał wesele.

Mucha grała na arfie
Wyciągała tony,
A indory postawały,
Rozpostarłszy ogony,

Wróble żyto młóciły

Nikomui nie dały;

Co zmłóciły, to zjadły,

Wiać go nie kazały.

A czapla chleb piekła,

Sroka pomagała,

Jak czeluście wycierała

Plecy zmorusała.

Sowa piwo warzyła

W tej dębowej dziurze,

A dzieciół jej pomagał

W czerwonym kapturze.

Złota sarenka. Dawniej to tak bywało wesoło, ach, a dzisiaj... (wzdycha).

SCENA XI.

Ciż i Sroka, Biała gołąbka i Myszka.

Sroka. Wesołe nowinki!.. Wesołe nowinki!..

Wszyscy. Gada! gada!.. Co było? czego nie było?

Świerszcz (do Białej gołąbki). Czemuś kochanko, tak obławowana?

Biała gołąbka. To zapasy żywności, które Łaciatka siostrze swej przysłała.

Złota sarenka. To jej źle tak nie jest.

Biała gołąbka. Obchodzą się z nią bardzo dobrze, łagodnie. Przekonałam się o tem naocznie.

Złota sarenka. Dziękuję ci serdecznie.

Biała gołąbka. Nie tak moja w tem zasługa, jak tej myszki szarej, która przez całą zimę obiecuje ci dostarczać wiadomości o siostrze.

Mysz. Mogę też cię uspokoić, że Srebrzysta, chociaż zmęczona ciąglem prześladowaniem wilków, jest jednak zdrowa i szczęśliwie uchodzi przed napaścią.

Złota sarenka. Jakże szczęśliwie, że mnie dziś tak pomyślne doszły wiadomości. A mając zapasy od siostry, mogę was na bal zaprosić.

Chór dziewcząt. Będziemy jedli, będziemy pili, będziemy się weselili!

Chór chłopców. Jak Bóg da! Jak Bóg da!
(Do tańca stają 4 pary: dwie żaby, mysz z zającem, świerszcz z motylem, sowa z dudkiem. Czapla postępuje sama na końcu. Po przetańczeniu każdej figury stają i śpiewają następujące zwrotki).

1 *Żaba.* Kumo co tam?

2 *Żaba.* Zdechł pan bocian.

Obie. A my temu rade-rade-rade!..

Mysz. Wlazł kotek na płotek i mruga,
Piękna to piosenka niedługa —
Niedługa, niekrótka — w sam raz,
Zaśpiewaj ją Kiziu jeszcze raz.
Nasz kotek ten szary, ten bury,
Wysuwa swe ostre pazury,
Cichutko w kąciку czatuje,
Bo pewno gdzieś myszkę już czuje.
A myszka uciekła do dziury,
Nie łapie jej teraz kot bury!
Zły kotek i mruży i mruga —
Śliczna to piosenka, niedługa.

Zajac. Siedzę sobie pod miedzą
Myśliwi o mnie nie wiedzą.
Siedzę, siedzę, medytuję
Testament życia spisuję
Nieborak!

Chór. Nieborak! Nieborak!

Zajac. Zapisuję skórki kuśnierzom
A ogonek strzelcom, żołnierzom,

kleistym płynem, jaki umyślnie dla nich przygotowały w swem wolu.

Zarówno jajeczka, jak i liszki potrzebują ciągłego starania. Troskliwe robotnice czyszczą je, oblizują, przenoszą zrana na wyższe pięterka, ku wieczorowi układają w niższych komorach, słowem, czuwają nieustannie, aby maleństwa te miały odpowiednie ciepło i wilgoć.

Po niejakiin czasie liszki niektórych gatunków mrówek wysnuwają dokoła siebie białą przędzę i zamieniają się w poczwarki. — Są to zupełnie niewłaściwie nazwane „jaja mrówcze“, które ptaszyni karmią ptaki w klatkach.

Poczwarki nie już nie jedzą. Zdawałoby się zatem, że z niemi nie mają opiekunki żadnego kłopotu. Przyglądając się jednak uważniej, widzimy, jak w dzień jasny, ciepły robotnice wynoszą je z podziemnych komórek, układają w miejscu słonecznem, a gdy się ochłodzi, zabierają napowrót do swych mieszkań.

Jeśli człowiek lub jakie zwierzę, rozrzuci, lub choćby tylko uszkodzi mrowisko, zrozpaczone robotnice biegają wśród ruin, by ratować swe wychowanki z niebezpieczeństwa.

Biorą one wówczas, jakby w objęcia liszki i poczwarki i przenoszą je coperędziej w miejsce ukryte pod liśmi lub kamieniem. — Tam układają je rzędami.

A kiedy wróg się oddali, robotnice nie tracąc ani chwili czasu, chowają d iatwę wgłęb swej osady. Uspokoiwszy się o los potomstwa, niezwłocznie zabierają się do naprawy mrowiska.

Po pewnym czasie poczwarka zamienia się już w dojrzałą mróweczkę. Robotnice, przegryzając oprzędy, pomagają jej wyjść z zamknięcia, gładzą ją różkami, czyszczą szczoteczkami, umieszczonemi na przednich nóżkach, karmią, potem oprowadzają po wszystkich zakątkach mrowiska, chcąc ją zapoznać z całym gospodarstwem.

Po kilku dniach młoda mrówka zabiera się już do roboty. Pod kierunkiem starszych robotnic pracuje przy naprawie mrowiska, pomaga młodszemu siostrzyczkom wydostać się z kokonów, pielęgnuje jajeczka, liszki i poczwarki. Dopiero kiedy podrośnie, nabiera sił i doświadczenia, opiekunki pozwalają jej wychodzić z domu po żywność. (d. c. n).



Wyspa Sachalin.

Od komendanta wyspy Sachalina nadeszła wiadomość, że w dniu 7 lipca, o godz.

9-ej rano, zbliżyła się do południowych brzegów Sachalinu eskarda japońska, i pod osłoną ognia tegoż samego dnia o godzinie 3-ej po południu wylądowało wojsko japońskie z 15 okrętów. Wobec tak przeważających sił, komendant rosyjskich wojsk dał rozkaz spalenia wszystkich budynków rządowych w Korsakowsku i wysadzenia w powietrze dział, służących do obrony wybrzeży.

Japończycy wylądowali na wyspie Sachalinie!

Sachalin jest największą wyspą z posiadłości rosyjskich na morzu Ochockiem. Od północy naprzeciw ujścia Amuru zaledwie 10 klm. szeroką cieśniną oddalony od lądu, na południe od Japonii oddzielony jest wąską cieśniną La Pérouse.

Nazwa Sachalin pochodzi podług Humboldta od *Sakhalian angga khada*, co oznacza „skała czarnego ujścia“. Japończycy zowią ją „Karafto“, a zamieszkujące ją plemiona tubylcze „Taraikaj“.

Sachalin ciągnie się z północy na południe wązkim pasem długości 957 kilometrów, w najciaśniejszem miejscu liczy zaledwie 28 klm., w najszerszem 195 klm. szerokości. Obejmuje przestrzeń 75,365 klm. (tej wielkości jak Galicya).

Sachalin jest wyspą górzystą jedynie na północy, naprzeciw ujścia Amuru rozwija się szeroka równina. Główny łańcuch gór, ciągnie się wzdłuż zachodniego wybrzeża i wznosi się wzdłuż od 900—1600 m. wysokości; wschodnie wybrzeże posiada niższy łańcuch gór Pik Tiara, a między obydwoma łańcuchami, rozwartymi ku morzu, rozlewa się zatoka Cierpienia.

W gęstych częstokroć do nieprzebycia lasach napotykamy: brzozy, buki, klony, świerki i sosny. W północnej części wyspy ciągną się rozległe tundry i olbrzymie torfowiska, porośnięte rudym wrzosem. Im dalej w głąb, tem gorzej.

Wnętrze wyspy jest nader ponure i straszne. Tylko połamane gałęzie trzesczą pod nogami. Inne są wybrzeża południowe. Tu są doliny szersze, jasna zieloność odbija się na tle szpilkowych lasów. I słońce tutaj zdaje się być cieplejszem; gdy u wybrzeża północnego i zachodniego śnieg przy końcu maja grubo jeszcze pokrywa ziemię, tu widać go tylko gdzieś w cienistych zakątkach dolin.

W głębiach Sachalinu spoczywa mnóstwo ukrytych bogactw, jak węgiel, nafta i żelazo; mówią, że jest także i złoto. Ale wyspa zazdrośnie strzeże tych skarbów. Drogę przerywa



Z widoków Sachalinu: Dzieci Ainów.

tajga niedostępna, śmiałka pochłona trzęsawiska tundry.

Wybrzeża Sachalinu ciągną się na 2,800 km. i są dostępne jedynie w niektórych zatokach dla okrętów wojennych. Klimat jest surowy, miarkowany jedynie na zachodnim i południowym wybrzeżu ciepłymi prądami wody od Japonii. Pokrycie leśne stanowią syberyjskie sosny i świerki, jedynie doliny rzek obfitują w lasy liściaste dębowe, wiązowe i

olchowe. Niedźwiedź, lis, soból zamieszkuje te lasy, na północy renifer. Najważniejszym zatrudnieniem ludności miejscowej jest połów ryb, dla których Japończycy oddawna na południowe wybrzeże przybywali i statkami zwozili rybę do Japonii na pożywienie i jako nawóz pod uprawę ryżu.

Ludność Sachalinu składa się z miejscowych mieszkańców Ainów na południu i Giliaków na północy, oraz napływowej ludności



Z widoków Sachalinu. Sanki gilaćkie, przywożące pocztę do Aleksandrowska.

chińskiej, japońskiej i rosyjskiej. Według urzędowego spisu z r. 1897 liczono tam 28,111 mieszkańców.

Latem przybywa na południowy brzeg rzeki wielu Japończyków, którzy zajmują się handlem drzewa, rybołóstwem i suszeniem kapusty nadmorskiej, którą masami wywożą do Japonii.

Prócz tej ludności przebywają na Sachalinie skazańcy z Rosyi. W r. 1890 było przymusowo zesłanych 8,635, a w robotach ciężkich, 7,316 ludzi.

Wyspa posiada 130 zamieszkałych miejscowości, 28 szkół, 10 cerkwi prawosławnych, 5 więziennych zakładów. Liczba uczących się wynosi 753. Najważniejszym produktem górniczym jest tu węgiel

kamienny, którego rocznie wydobywają blisko 2 miliony pudów. Główne miejscowości są: założony w r. 1881 Aleksandrowskij, liczy 11,900 mieszkańców, siedziba gubernatora; Korsakowskij — 1,550 ludzi, Tymowski i miasto Due na wybrzeżu zachodnim.

Pierwszy Europejczyk stanął na Sachalinie w r. 1643; był nim Holender Gerrit de Vries, wyspę odkrył jednak dopiero La Pérouse w r. 1787, opisał ją kapitan rosyjski Niewelski w r. 1849, Polakow w r. 1881 i Krasnow w r. 1892.

Do r. 1875 Japończycy posiadali całe południe wyspy, potem traktatem z Rosyą zrzekli się tej części za odstąpienie im wysp Kurylskich.

W.



Otóż i żniwa!

*Już w przepychu lipy stoją
Swych godowych szat,
Wabiąc pszczoły, co się roją,
Tam gdzie skarbów moc rozwija,
Pęten woni kwiat.*

*Hen! na łanie sierpy dzwonią,
W zgodny z pieśnią ton.
Garną żenicy chyżą dłonią,—
Bo pogody czas przemija,—
Upragniony plon.*

*Dzwonią sierpy, brzęczą kosi,
Od fur ciężkich kurz...
Płyną w niebo wdzięczne głosy,
Milkną skargi, cichną żale
Uciśnionych dusz.*

*A choć słońko króciej świeci,
Wietrzyk rzeźwiej tchnie,
Skrzydłem ptaka czas ten leci,
Co ruchome strąca fale,
Na niw płowem tle.*

*Gdy obawa dżdżu i gradu,
Wraz z wylewem wód
Przeszła, pierzchła już bez śladu,
Nikt nie pomni strasznych wieści,
Nie trwoży go głód.*

*Mija lato, dnia ubywa,
Wcześniej schodzi noc,
Lecz gdy dobrze schodzą żniwa,
Serca, które ufność pieści,
Wielbią Boską moc.*

*Wkrótce wiążąc wonne pęki,
Kwiatów, kłosów, ziół.
Lud pośpieszy złożyć dzięki,
Pani świata, sierot Matce,
Opiekunce siół.*

*I nadejdą dni spokoju,
Wraz z jesienią w lot.
Gdy po trwodze, trudach, znoju.
Spocznie rolnik w cichej chatce,
Z lic otarłszy pot.*

E. Lejowa.

Z. Morawska.

Przemyślenia Pana Mikołaja.

Powieść z XVI w.

(Ciąg dalszy).

— I z imię sekretarza może z czasem urosnąć wojewoda, — przypochlebiał się przybyły, mrugając oczami.

— *Ad rem*, mój mości? — skarcił go marszcząc brwi pan Nikodem.

Mikołaj nie wiedział dobrze, co to znaczy, ale domyślił się, że to zapewne, „a więc“ lub „do rzeczy“, widział za to, że pochlebstwem nie trafi jakoś do pana Nikodema, rzekł tedy:

— Przyszedłem prosić imię pana sekretarza o gęsie pióro, inkaust i libkę papieru...

— W Imię Ojca i Syna, acan myślisz, że papier darmo dają, — zawołał sekretarz ze zgorzeleniem.

— Wcale nie myślę i dla tego z ochotą, ile trzeba zapłacić.

— Tere, fere, — zapłacić... czy to kancelarya j. wielmożnego wojewody kram z papierem, czy co!... — mówił oburzony sekretarz.

Oddalił się też ze złością od komina i począł chodzić w wielkiej irytacji po izbie, zgarbiając coraz więcej ku sobie tołubek.

Mikołaj aż pięścią zatknął usta, żeby nie parsknąć śmiechem, że jednak chciał, by prośba jego została uwzględniona, rzekł potulnie.

— Gdyby mi imię pan sekretarz wskazać raczył najbliższy kram ze wszystkim, co potrzebne do pisania, byłbym mu wielce obowiązany.

— Juści, juści, kram... kupować będzie... jaki mil... mrucał pan Nikodem, chodząc, to przystając przed kominem.

— Cóż acan, będziesz spisywał kronikę, że ci tyle papieru potrzeba? — zapytał nagle stając przed Mikołajem.

— Kroniki nie, — ale mam coś ważnego do napisania.

— Ważnego, cha, cha, cha! ważnego!... — śmiał się pan Nikodem.

— List do króla jegomości, do sułtana tureckiego, czy madrygał do której dwórki królowej jegomości? — spytał wpatrując się w gościa.

— Może i jedno i drugie i... trzecie, — roześmiał się tenże.

— Ooh! — zadziwił się sekretarz.

— No, — gadaj, — na co ci papier? — pytał zaciękwiony.

— Muszę coś napisać i to zaraz! — odrzekł Rej stanowczym głosem, rozumiejąc, że rozkaz panów to nie przelewki i że lada chwila mogą go zawołać.

— A co? — zapytał sekretarz, — który miał wadę wielkiej ciekawości.

— Daruje waćpan dobrodziej, że na to pytanie odpowiedzieć nie mogę, — odparł Mikołaj. — Jen o papier proszę koniecznie, — dodał z naciskiem.

Pan Nikodem spojrział na niego, a domyślając się, że nic więcej nie wycisnie — rzekł:

— Wiedz o tem, że szafować dobrem j. wielmożnego wojewody nie mogę, — dam ci więc arkusz papieru.

— Choć trzy — przerwał Mikołaj.

— Pal cię pięć, — dostaniesz dwa, — mówił sekretarz, zbliżając się do stolika, w którym one skarby miał zamknięte.

— Pióro i inkaustu z kałamarzem — prosił Mikołaj.

— Weź sobie i wynos się, gdzie pieprz rośnie, — zawołał pan Nikodem, — ile że w tejże chwili pacholek wniósł mu ranną polewkę.

Pospieszył też i Mikołaj, zbierając z wielką atencją żądane przedmioty.

Tem więcej się zaś śpieszył, że usłyszał kołatkę, zwołującą młodzież na śniadanie.

— Dobrze, — niech idą, — łącniej mi pójdzie, myślał Mikołaj, — wracając do swej izdeki.

Jakoż rzeczywiście nikogo w niej nie było, nawet Paciora podążył z dworzanami do wspólnego stołu.

Za to dzień już wstał w całej pełni i słońce jaskrawo zaglądało przez wązkie i małe okienko.

— Przewracają mi się kiszki z głodu, ale gorzejby mi się przewracały, gdyby j. wielmożny wojewoda zawołał, a listu nie było — myślał sobie, — przystawiając ławę i stół bliżej okna.

I choć mu głód doskwierał, rozłożył papier i wziął się skwapliwie do pisania.

Pisał długą chwilę, nie słysząc ani wesołych śmiechów na korytarzu, ani dzwonkawzywającego na mszę w pobliskim kościele i odczekał dopiero, gdy pokreśliwszy jeden arkusz, drugi dość foremnie zapisał.

Skończył go właśnie odczytywać i zabierał się do powtórnego odczytania, gdy wpadł jeden z dworzan, wołając:

— J. wielmożny wojewoda wzywa cię na pokoje.

XIX.

Jak się młody Rej z polecenia j. wielmożnego wojewody wywiązał.

Długą chwilę czekał imię pan Mikołaj, nim panowie rozmawiający w drugim końcu sali, zwrócili nań uwagę.

Przez ten czas głód, o którym zapomniał przy pilnej robocie, setnie mu się dawał we znaki.

Myślał też sobie.

— Dobrze im, podjadłszy pogadywać między sobą, — gdyby im tak kiszki wygrywały głodnego, inaczejby śpiewali...

To znów przychodziło mu na myśl:

— Żeby tak kopnąć się, a przegryźć nieco z sepetu Paciora.

Z tem wszystkim nie ruszał się z miejsca, jeno stał jak przykuty przy drzwiach, a trzymając w ręku *koncept* rzeczzonego listu, rozmyślał, jak się wykręcić, gdy mu powiedzą, że nie do rzeczy napisał.

Mięso pieskom, kiszki wronie

A serduszko mojej żonie

Najmilszej!

Chór. Najmilszej! Najmilszej!

Świerszcz. Ćwierk, ćwierk za kominkiem,

Śpiewam zimą z małym synkiem,

A żoneczka z starszą córką

Wyglądają na świat dziurką.

Motyl. Coś tam w boru stuknęło

Chór. Bum! bum!

Motyl. I okrutnie huknęło.

Chór. Bum! bum!

Motyl. A to komar z dębu spadł

Chór. Bum! bum!

Motyl. I stłukł sobie w plecach gnat.

Chór. Bum! bum!

Motyl. A tu mucha pocziwa

Chór. Bum! bum!

Motyl. Leci ledwo że żywa

Chór. Bum! bum!

Motyl. I pyta się komara.

Chór. Bum! bum!

Motyl. Czy nie trzeba doktora,

Chór. Bum! bum!

Motyl. O nie trzeba doktora

Chór. Bum! bum!

Motyl. Ani żadnej apteki,

Chór. Bum! bum!

Motyl. Jenó rydła, motyki.

Chór. Bum! bum!

Motyl. Przyleciało wilków sześć

Chór. Bum! bum!

Motyl. Komarowe ciało nieść

Chór. Bum! bum!

Motyl. Komarzyca nie dała

Chór. Bum! bum!

Motyl. Jenó wilków wygnała.

Chór. Bum! bum!

Sowa. Panie dudku źle tańczysz

Na paluszki następujesz!

Dudek. Już nie będę następywać

Tylko będę podrygiwać.

Chór. Poszedł dudek z sową w taniec

I nastąpił jej na palec.

Czapla. Chodziła czapla na wysokich nogach, po długiej desce, czy mówić jeszcze?

Chór. Jeszcze! Jeszcze!

Czapla. Chodziła czapla na wysokich nogach, po długiej desce, czy mówić jeszcze?

Chór. Jeszcze! Jeszcze!

(Czapla i chór powtarzają to dopóki zasłona nie spadnie).

K O N I E C.

F. Morzycka.



J. PIASECKA.

Dzielny Jędrus.

(Ciąg dalszy).

We dworze spodziewano się Jędrusia. Gdy wszedł, służąca uśmiechnęła się doń życzliwie.

— Oj, we dworze tu, straszne dla Jędrusia idzie szycie — jutro się pewnie sam nie pozna, jak te parady na siebie wdzieje.

Spuścił oczy.

— A panicz Władys to się ogromnie cieszy — mówiła dalej gadatliwa służąca — bo pani podobno powiedziała, że jak się Jędrus dobrze sprawi, będzie to z paniczem do miasta pojedzie na naukę. O, już się tu Jędrusiowi opłaci, bo opłaci służyć wiernie, państwo nie pożałują niczego.

Chłopak nie patrzył na mówiącą i nie chciał nawet słuchać jej słów, taki żal czuł w duszy i taki wstyd palił mu czoło.

Jak tu powiedzieć to, z czem przyszedł, Boże, jakież on przechodził męczarnie.

Służąca brała pomieszanie Jędrusia za ławstwo zrozumiała w takich wypadkach nieśmiałość, podeszła więc bliżej do niego i głaszcząc pod brodę powiedziała życzliwie.

— Nie trzeba się bać i można patrzeć śmiało. Państwo i dwór cały trochę z początku onieśmielają, wiem to po sobie, — mnie też tak było, gdym tu nastała, ale to prędko przechodzi, — trzeba być śmiałym

Jędrus podniósł na służącą oczy pełne łez.

— Ja... ja... ja chciałbym się zobaczyć z wielmożnym panem lub z panią, mam im coś powiedzieć.

— Pana niema, ale pani właśnie teraz w kredensie, możesz iść kiedy masz interes — i wskazała mu drzwi.

Nieśmiało otworzył je i znalazł się przed panią. Jakby dla dopełnienia przykrości, których doznawał teraz co chwila, zastał panią mierzącą płótno i wydającą polecenia szwaczce, jak ma być uszyta bielizna dla niego.

— A oto i on — zawołała uradowana pani — przychodzi jakby na zawołanie. Dobrze, dobrze, chodź Jędrusiu, panna Barbara weźmie ci miarę. Jak to dobrze, żeś przyszedł, właśnie miałam po ciebie posłać, za chwilę nadjedzie krawiec z Łasku.

Jędrus pocałował panią w rękę.

— Proszę pani, nie trzeba już dla mnie, ani koszuli, ani ubrania, nie nie trzeba.

— Jakto? — pyta zdziwiona — wszystko to mieć musisz, to są rzeczy niezbędne na służbie. U mnie trzeba być porządnie ubranym.

— Kiedy ja już na służbę nie przyjdę, ja przyjść nie mogę.

— Dlaczego nie możesz?

Chłopcu nogi zadrżały ze wstydu. Teraz nadeszła dla niego najstraszniejsza chwila oskarżenia się. Zły duch szeptał mu do ucha, aby coś nie coś wymyślił, skłamał.

— Przecież za chwilę już cię tu nie będzie, — skłamał, powiedz, że idziesz gdzieś indziej, żeś w domu potrzebny, — szeptał szatan. — Po co masz się upokarzać, co oni cię obchodzą.

Kusiciel był natarczywy, chłopiec, jakby walcząc z nim, odwrócił się i w tej chwili, wzrok jego padł na obrazek Matki Najświętszej. Patrzała na niego smutno, ale tak zachęcająco, że chłopiec ledwie mógł pohamować wzruszenie, którego nagle doznał.

— Ja nie mogę przyjść na służbę do wielmożnej pani, — wypowiada naraz prędko, jakby się bał, aby mu ta odwaga znów nie uciekła, — bo ja nie jestem już tem, czem byłem dawniej.

Pani nie rozumie słów Jędrusia, — siada i przyciągając go do siebie mówi:

— Co to znaczy dziecko, — mów śmiało, ja cię nie rozumiem, dlaczego dziś nie jesteś tem czem byłeś? -- Czemu ty byłeś?

— Byłem uczciwym chłopcem, proszę pani, dziadek prawdę mówił, że się za mnie nie powstydzę, dziś by tego o mnie nie powiedział i ja sam nie chcę państwa oszukiwać. Jestem złodziejem, — wczoraj nim zostałem. Pierwszy raz wyciągnęłem rękę po cudzą własność i Bóg sprawiedliwy mnie ukarał. Zdeczła nam Krasula, którą nakarmiłem kradzionymi liśćmi kapusty. Wstyd piecze mi czoło, straciłem spokój, wesołość, wszystko. Zdaje mi się, że na czole mam wypisane moje przestępstwo. Rzucam wieś, — wrócę, gdy odpokutuję i krzywdę wyrządzoną memu zacnemu dziadkowi nagrodzę.

Ten akt skrucy ulżył mu nieco. Gdy podniósł głowę, twarz miał zalaną łzami.

Pani patrzyła na niego z dobrocią lecz smutnie.

(d. c. n.)

Zadania i łamigłówki.

Logogryf.

ul. Jan Alfred Cohn.

Z sylab: a — an — chmiel — czy — drag — des — e — gnac — gór — ga — gu — i — i — il — kasz — ko — ki —

la — ła — ma — moc — mir — nik — ni — nin — pi — ry — ry — sy — ski — stya — to — u — u — wil — za — za — zyk
ulożyć należy 14 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko bajkopisarza.

Znaczenie wyrazów: 1) Imię męskie. 2) Połączna palka. 3) Zakonnik. 4) Miasto w Hiszpanii. 5) Inaczej potęga. 6) Druga nazwa rośliny kosaciec w liczbie mnogiej. 7) Miasteczko w gub. Kieleckiej, pow. Stopnickim. 8) Kraj w Azji. 9) Miasto w gub. Radomskiej. 10) Tragik grecki. 11) Rośliny leśne. 12) Imię męskie w formie ludowej. 13) Ptak krajowy. 14) Poeta polski niedawno zmarły.

Zagadka historyczna.

ul. Em. L.

Nie wzrastałem z latami, tak jak inne dziatki.
Nikt mnie też na tej ziemi nie darzył pieczęcią.
Lecz choć nigdy nie miałem ojca, ani matki,

Byłem sierotą.

A choć przeszłość odległa mą pamięć pokryła
Jakże na karcie dziejów dotąd spotkać słodko,
Imię królewskiej córy, co do mnie mówiła:

„Mój ty sierotko!”

Dawniej nie było sierot, — ani nazbyt drogich
Klejonotów, gdzie się bliźnich ozwała potrzeba,
Bo chętnie swoje skarby przez ręce ubogich,

Słała do Nieba.

Zadanie konikowe.

ul. Przyjaciół „Wieczorów”.

d	z	i	a
ł	u	ł	a
h	a	c	a
ł	a	c	a
t	a	j	a
k	i	o	j
j	a	k	i
ł	a	c	a

Rozwiązania do № 28-go.

Prozy przerobionej na wiersze:

Od słońca pożaru zczerniała mi głowa,

A w kółko pustynia; — do Ciebie Jehowa

Podnoszę płaczący mój głos.

Spraw Panie! by niebo nade mną wychłódkło

I skały granitu zmień Panie na źródło,

A piasek czerwony na wrzos.

I nigdyż Jehowa! i nigdyż do zgonu

Nie ujrę już dolin kwiecistych Hebronu!

Ni miejsca, gdzie pan mój i ród?

I nigdyż już nigdy, choć wyjdę z żywotem,

Nie usnę pieczęcioną pod jego namiotem,

Ni nocą wybiegnę do trzód?

Figla: Miesiąc, co świeci na niebie (księżyc).

Szarady: Ka-ra-wa-ny.

OFIARY.

Dla głodnych dzieci: Jurek K. rub. 5. M. L. i A. B. rub. 5. Jańcia Pruszyńska w dniu pierwszej Komunii św. otrzymane na imieniny rub. 5. Jadzia, Staś i Gieś rub. 1.

Dla biednego drukarza: Brzózka polna kop. 50.

Kłaśnięcie w dłonie, którem zwykle przywoływał dworzan j. wielmożny wojewoda, obudziły go z tych myśli.

Szastnął więc nogą dosadnie, żeby wiedziano, że składa ukłon, a potem posuwistym choć szybkim krokiem zbliżył się do rozmawiających. Tu stanawszy w przynależnej odległości, skłonił się do kolan j. wielmożnego wojewody, potem na prawo i lewo oddawał czapką i ręką niskie ukłony, nie przepominając o najniższym dla owego jegomościa, którego wszyscy największem otaczali poważaniem.

— Przyniosłeś acan *koncept*? — spytał Tęczyński.

— Do usług j. wielmożnego wojewody.

To mówiąc, skłonił się znów wszystkim i zaczerwienił jak dojrziała wiśnia.

Nie wiedział też, co ma uczynić z owym *konceptem* i trzymał wyciągniętą rękę, jakby go się chciał jak najprędzej pozbyć.

W duszy zaś pragnął, żeby jemu samemu kazano głośno odczytać.

— Gdyby mi co nie w smak było, opuszczę albo i dodam czytając... — myślał sobie.

— Czytaj! — przerwał mu te myśli wojewoda.

Ręce mu drżały, gdy rozkładał papier, serce kołatało, jak młotem, a kiszki tak się skurczyły, że nawet zapomniały o głodowej muzyce.

Przyszedł wszakże wkrótce do siebie i rozwinawszy papier, czytał:

„Do j. wielmożnego Hieronima Łaskiego, wojewody sieradzkiego a mnie wielce miłościwego pana.

Według słów najprzewielebniejszego przeora Paulinów w Częstochowie:

Zapolia brevi tempore Cracoviam incognito modo adveniat, nuntiate Regem Sigismundum, curate, ne Regina Bona insidias contra eum vigeret. ¹⁾

Dla powyższych więc przyczyn i względów, upraszam j. wielmożnego, a nam wielce łaskawego pana o jak najspieszniesze do Krakowa przybycie w celu porozumienia się w wyżej rzeczonyj materji, o czem donosząc i o co upraszając j. wielmożnego pana brata, mam honor pisać się.

Kraków

Dan 24 octobra 1526 roku“.

Skończywszy czytanie, odetchnął, jakby mu kto kamień zdjął z serca.

Spojrzał też dość śmiało na panów, którzy znów poglądali na siebie, to znów przypatrywali się stojącemu pod ich badawczym wzrokiem młodzieńcowi, — nie mówiąc nic do siebie.

Aż j. wielmożny hetman Tarnowski, zwracając się do Tęczyńskiego zapytał:

— Czemu nie po łacinie?

— Czemuś acan całego listu nie napisał łacinie? — zwrócił wojewoda pytanie do stojącego.

Rej jeszcze więcej się zaczerwienił, nie stracił wszakże rezonu i rzekł:

— Rozumiałem, że ojczytą mową lepiej wyrażę myśl przez j. wielmożnych panów mi podaną.

Jaśnie wielmożni poczęli znów między sobą się naradzać, zali list pisany ojczytą mową nie obrazi wojewody, a hetman Tarnowski, zwracając się do Mikołaja, rzekł:

— Co też acanowi z takim pisaniem przyszło do głowy?

— Wasza miłość wybaczyć mi raczy, — ale chyba przyrodzona, a ojczytą mowa nie obrazi j. wielmożnego wojewody sieradzkiego, bo tak jako wasza miłość, tak i j. wielmożny wojewoda pierwaj od macierzy swojej słyszeli w tej mowie wyrazy niż w łacinie, a też i w codziennej mowie nie inną, jeno ojczytą się posługują — odrzekł Rej, przybierając skromną i potulną postawę, a jednocześnie kładąc nacisk na każdy wyraz.

Po wypowiedzeniu tego śmiałego zdania w duszy mu jakoś błogo się zrobiło i począł ślubować sobie:

— Boga mi, — pisać będę, co mi jeno na myśl, a do umysłu się nawinie, ale nie inną, jeno ojczytą mową, boć ją każdy z przyrodożenia, jako macierz rodzoną miłować powinien.

I przed jego oczyma poczęły stawać łąki pięknie ukwiecone, gaje wietrzykiem rozigrane, a zieleniejące, a uśmiechnięte, a przygarniające młodszą krzewinę, jako rodzoną.

To znów przechodziły mu przed oczyma, jako korowód, zwyczaje i obyczaje zapamiętane z Żórawna i Nagłowic. I ta ukochana macierz zmarła, co nietylko jego, ale i całą czeladkę swoją i domowników przygarniała, kojąc ich troski, podzielaając radości, a krzątając się koło całego obejścia, jako ta pszczoła koło miodnego ula. I przyszła mu też na myśl Elżbietka, i wszystkie obyczaje, zabawy dworskich panien, i wszystkie figle, a i zbereżeństwa swoje i towarzyszy, że postanowił to wszystko wiernie opisać.

A tak się w tych myślach pograżył, że nie słyszał gwarliwej rozmowy panów i zgola zapomniął, gdzie się znajduje.

I w tem zapomnieniu i zapamiętaniu się w owych rozmyślach, jak to wszystko spisywać będzie, głośno wyrzekł:

— Boga mi, — w ojczystej mowie!

Panowie, którzy naradzając się nad ważnemi sprawami, nie zwracali uwagi na stojącego dworzanina, usłyszeli wszakże ostatnie jego wyrazy.

Spojrzeli też po sobie, a Tęczyński rzekł łaskawie.

— Przepiszesz ten *koncept* na czystym papierze i napiszesz drugi w tej samej materji do j. wielmożnego Marcina Kamienieckiego, wojewody podolskiego, i przyniesiesz oba.

Skinął ręką na znak, że niema nic więcej do powiedzenia.

Mikołaj, zbudzony nagle ze swych marzeń i myśli, zrozumiał wszakże, że ma odejść.

(d. c. n.)

¹⁾ Jest powtórzenie tego, co poprzednio było już po polsku położone.



Sprawozdanie z konkursu „Wielkich ludzi”.

3. WODZOWIE.

Czy to z powodu pory wakacyjnej, czy z innych pobudek, ale ostatni konkurs „wielkich wodzów” zyskał daleko mniejsze powodzenie niż konkursy „uczonych” i „poetów”.

Otrzymaliśmy zaledwie 30 listów, kiedy w poprzednich niemal setka czytelników stawiała do głosowania.

Lista siedmiu największych wodzów świata zdaniem głosujących tak się przedstawia:

1. *Napoleon Bonaparte*, cesarz Francuzów, (1769 — 1815 r.) otrzymał głosów 30, punktów 191.

2. *Aleksander Wielki*, król macedoński (panował od 336 do 323 przed N. Chr. P.) otrzymał głosów 28, p. 155.

3. *Jan III Sobieski*, król polski (1624 — 1696) gł. 27, p. 99.

4. *Juliusz Cezar*, (100 — 44 r. przed N. Chr.) gł. 21, p. 91.

5. *Hannibal*, kartagińczyk (247 — 183 r. przed N. Chr.) gł. 17, p. 68.

6. *Stefan Czarniecki*, pogromca Szwedów, (1599—1665 r.) gł. 12, p. 32.

7. *Karol Wielki*, pierwszy cesarz rzymsko-niemiecki (782 — 814 r.) gł. 8, p. 22.

Następnie najwięcej punktów otrzymali: Karol XII, król szwedzki, Kościuszkowski, Fryderyk II pruski i Nelson, admirał angielski.

Wogóle co do ostatnich dwóch miejsc głosy były bardzo rozstrzelone. Wymieniono parę razy ze starożytnych bohaterów: Cyrusa, Leonidasa, Milcyadesa, Epaminondasa, Temistoklesa, Scypiona afrykańskiego; ze średniowiecznych: Godfryda de Bouillon i Ryszarda Lwie Serce; z późniejszych: Wallensteina, Gustawa Adolfa, Moltkego, Suwarowa, Chodkiewicza, Żółkiewskiego, Waszyngtona, Ojame i Togo.

Jedna kartka nadeszła aż z Marsa, planety bożka wojny, który jednak dość ironicznie — widząc — zapatruje się na wodzów ziemskich.

Rezultat głosowania nie zadziwił nas wcale. W istocie nikt dotąd w historii świata nie wykazał tak zdumiewającej potęgi umysłu i woli w skupieniu i skojarzeniu wszystkich współczesnych sobie danych dla wydoskonalenia sztuki wojennej; nikt też — powstawszy prawie z niczego, — nie zdołał opanować i skłonić do ślepego a pełnego entuzjazmu poświęcenia i poświęcenstwa milionów ludzi, jak —

...ów mąż, bóg wojny,
otoczony chmurą pułków, tysiącem dział zbrojny, —
który —

«wprzągłszy w swój rydwan orły złote obok srebrnych,
od puszczy libijskich latał do Alpów podniebnych,
ciskając grom po gromie, w Piramidy, w Tabor,
w Marengo, w Ulm, w Austerlitz. Zwycięstwo i zabór
biegły przed nim i za nim!...

A po tem wszystkiem — gdzieś w bezmiarach oceanu — samotna, twarda skała, a na niej przykuty ów zwycięzca, jakby na dowód, że nad genialnymi i najpotężniejszymi ludźmi jest ktoś wyższy i mocniejszy.

Z nadesłanych listów najobszerniejszy jest list Benigny Borowskiej. Chociaż płeć piękna naogół mniej interesuje się sprawami wojennymi, gdyż posiadała zawsze cenny przywilej, że czynnego udziału w nich nie bierze; jednakże wśród naszych czytelników — przedstawicielka tej płci właśnie, skreśliła bardzo dokładną i trafną notatkę historyczną o każdym z wybranych przez siebie wodzów, przytem bardzo słusznie zamiast Karola Wielkiego wskazała Gustawa Adolfa, zwycięzcę pod Lützen w wojnie trzydziestoletniej (1632 r.) który w istocie był znakomitym taktykiem i strategiem.

Następnie po sześciu z mężów, którzy wyszli z listy ogólnej, wymienili w swych głosach: Wielki Wąż, Jadwiga Nowicka, Jan Chudziński, Tadeusz Węgliński i Ptasznik z W.

Po pięciu, wyszłych z listy wodzów, wskazali: W. Heyman, Ig. Rosenbaum, Olga Łastowiecka, Jan Alfred Cohn, Ada, Barwinek, Trzeci Raczek z Siedlisk, Marychna Maykowska, Jerzy Szwajcer, Sokół, Orzeł Czuby.

Nakoniec udział w głosowaniu wzięli jeszcze: Mieczysław Godlewski, Wanda Rzekowska, Stanisław Ostrowski, Józef Kamieński, St. Dąbrowski, Ryszard Lwie Serce (obszerniejsza notatka), Jurand, Mały z W., Tadeusz Procter, Przyrodnik *in spe*, Hipocentaurus, Józef B. i Alf.

Pierwszą z czterech zapowiadanych nagród przyznajemy Benignie Borowskiej, a następnie rozlosowaliśmy między głosującymi pierwszej kategorii — i przypadły Janowi Chudzińskiemu, Jadwidze Nowickiej i Tadeuszowi Węglińskiemu. Nagrody są do odebrania w redakcyi.

Pragnąc, aby czytelnicy nasi skupili swoją uwagę na konkursie, ogłoszone w Nr. 26-ym, t. j. na wypracowania w sprawie obchodzenia się ze zwierzętami i na roboty ręczne dla pań, niemek, dalszy ciąg konkursu „Wielkich ludzi” odkładamy na listopad.

W kąpieli.

Lato, wakacje. Większość czytelników naszych buja na wsi, a wszyscy zapewne z tych, co na wsi przebywają używa orzeźwiających i zdrowych kąpiei w różnych stawach, jeziorach, rzekach lub rzeczkach.

Przypuszczam, że czytelnicy nasi to zu chy: umieją pływać na wszelkie sposoby, nurkować również, więc dla zwiększenia uciechy przy kąpieli nauczę was dzisiaj, jak robić fontannę.

Rzecz łatwa. Przyjrzyjcie się tylko do brze rysunkowi: u góry pokazane jest jak trzeba dłoń ułożyć, by przy szybkim zanurzeniu w wodę i jednoczesnem gwałtownem zaciśnięciem ręki (patrz rysunek dolny) otrzymać wytrysk, który przy pewnej wprawie może dochodzić do parułokciowej wysokości.



Spróbujcie przy najbliższej kąpieli!

A tymczasem, kiedy już o kąpieli mowa, chcę wam dać kilka ostrzeżeń, których zachowanie uchroni was od nieszczęśliwych przygód i wypadków, jakie się nieraz w kąpieli zdarzają.

Więc: 1) Nie kąpać się, będąc zgrzanym lub wzruszonym moralnie: np: po zmęczeniu, przestraszeniu się lub smutku.

2) Nie kąpać się w razie nagłej niedyspozycji lub po chorobie.

3) Nie kąpać się po jedzeniu, a zwłaszcza obficie.

4) Iść do kąpieli powoli, wracać można nieco szybciej, ale też niezbyt prędko.

5) Zbadać głębokość i prąd wody.

6) Rozbierać się powoli, lecz rozebrawszy się wskoczyć do wody natychmiast i zanurzyć się spiesźnie.

7) Wątl i nie powinni długo pozostawać w wodzie.

8) Po kąpieli w celu wzmocnienia obiegu krwi rozetrzeć całe ciało, ubrać się prędko i przejść się umiarkowanym krokiem.

Al.



ZE ŚWIATA.



900 letni jubileusz. W roku bieżącym przypada dziewięćsetna rocznica śmierci Pięciu Braci Polaków, męczenników kazimierskich, a towarzyszy św. Wojciecha, zamordowanych w pustelni w miejscu, gdzie dziś znajduje się osada Kazimierz w powiecie słupeckim, gub. Kaliskiej.

Obchód jubileuszowy zacznie się w klasztorze kazimierskim w dniu 7-go września z udziałem J. E. ks. Stanisława Zdzitowieckiego, biskupa dycezyi kujawsko-kaliskiej.

Pielgrzymka młodzieży szkolnej. W niedzielę, dnia 30-go lipca r. b., o godzinie 10-ej zrana, wyruszy z kościoła w Raszynie pierwsza warszawska uczniowska pielgrzymka na Jasną Górę.

Droga cała do Częstochowy, podzielona na dwumilowe przestrzenie z odpoczynkami co trzy wiorsty i kąpielą codzienną, trwać będzie dni czternaście. Do wiezienia rzeczy i pakunków podróżnych będą specjalne furmanki. Po uroczystym wejściu na Jasną Górę dnia 13-go sierpnia nastąpi ogólna spowiedź pańników, poczem dnia 17-go sierpnia powrócą wszyscy kołując do Warszawy. Organizowaniem pielgrzymki zajmuje się p. Adam Koziański (Warszawa, Nowy Świat № 49 mieszkania 11A).

Olbrzymi wodospad. W Ameryce południowej odkryto niedawno największy wodospad na świecie. Znajduje się w kotlinie rzeki Ignasu na granicy Brazylii i Argentyny i nie był dotąd znany dlatego, że znajduje się w odległości 1500 klm. od najbliższego miasta.

Wysokość tego wodospadu wynosi 210 stóp, gdy Niagara spada z wysokości 167 stóp, a szerokość wynosi 13123 stóp t. j. dwa i pół raza jest większa od szerokości wodospadu Niagary.

Ilość wody spadającej w przeciągu godziny obliczają na 140 milionów ton. W okresie deszczów rozmiary wodospadu i ilość spadającej wody znacznie się powiększają.

Dla umożliwienia łatwiejszego dostępu do wodospadu, postanowiono przeprowadzić kolej żelazną, która będzie dalszym ciągiem drogi żelaznej z Buenos Ayres do granicy Brazylii.

Cała długość rzeki wynosi 110 klm.

Nowe marki. Z powodu rozdziału Szwecyi i Norwegii w tem ostatniem państwie nastąpi zmiana marek pocztowych. Poprzednie z wizerunkiem wspólnego króla Oskara II-go zostały wycofane 30 czerwca i tymczasowo nim będą przygotowane nowe, puszczone w obieg pozostałe z roku 1867-go żółte.

Niezwykły obraz. Słynny miniaturzysta Van Driesten, zamieszkały stale w Paryżu, ukończył obraz, przedstawiający bitwę pod Waterloo. Na płótnie powierzchni 1 metra, pomieścił Driesten 150,000 figur, z których każdą widać dosyć wyraźnie, choć nie są większe od mrówek. Na pierwszym planie widnieje postać Napoleona, obok przewalają się tłumy żołnierzy, a całość sprawia, mimo swej miniaturowej wielkości, imponujące wrażenie.

Najwyższy wzlot balonem. Record wysokości zdobył w tym roku dr. Antoni Schlein, członek wiedeńskiego Instytutu meteorologicznego. Wzniósł się on w balonie „Jowisz” celem dokonania spostrzeżeń meteorologicznych. Dr. Schlein dosięgnął 7600 metrów wysokości. Dotychczas wzbijano się zaledwie na 6,500 m. Jego balon miał pojemność 1200 m. kub. Najniższa temperatura wynosiła 15° Celsyusza poniżej zera. Jednocześnie w Wiedniu termometr wskazywał 28° Celsyusza powyżej zera. Na wysokości 7600 balon trzymał się przez minut 20, z wysokości 7500 m. spuszczał się przez 22 minuty, czyli opadał po 5.7 m. na sekundę.

Jak się zachować podczas burzy.

Obawa podczas burzy nie jest wynikiem niebezpieczeństwa, jakie nam zagraża, lecz raczej nieświadomości tego niebezpieczeństwa.

Wypadki zabicia człowieka przez uderzenie piorunem są tak rzadkie w stosunku do innych wypadków śmiertelnych, że zaledwie brać je można w rachubę. W dodatku prawie wszystkie te wypadki są wynikiem nieświadomości warunków, w jakich piorun może uderzyć.

Przedewszystkiem wiedzieć należy, że piorun częściej uderza w wodę, niż w ziemię; jeżeli zaś spada na ziemię, to wybiera przedmioty, znajdujące się oddzielnie na równinie. Stwierdzono, że na pięć piorunów, spadających na pole, jeden spada na przedmioty wyniosłe, np. domy; jeżeli zaś są nagromadzone w większej ilości, to możliwość uderzenia w nie piorunu jeszcze bardziej się zmniejsza. Z tego to np. powodu uderzenie piorunu w dom w mieście należy do bardzo rzadkich wypadków.

Na wsi piorun prawie nigdy nie spada na dom otoczony drzewami, ponad dach wystającymi. Uderzenie zaś piorunu w drzewo, chociażby w najbliższem sąsiedztwie domu, może wywołać przestrach, ale nie grozi niebezpieczeństwem.

Najbardziej narażone na uderzenie piorunu są odosobnione drzewa, domy, stogi siana i t. p. znajdujące się w polu. Rodzaj ziemi również ma znaczenie w tym razie: w ziemię gliniastą piorun trzy razy częściej uderza, aniżeli w piaszczystą. Nawet między drzewami piorun wybiera: w buki i graby prawie nigdy nie uderza, częściej w drzewa iglaste, jeszcze częściej w topole i kasztany, najczęściej w dęby. Człowiekowi, stojącemu w odległości 12—15 kroków od drzewa, nie zagraża żadne niebezpieczeństwo w czasie burzy, niech tylko nie osłania się parasolem.

W dom murowany, choćby nawet pokryty blachą, piorun rzadziej uderza, aniżeli w drewniany. Wysokość domu ma także swoje znaczenie; dom niski w otoczeniu przedmiotów wyższych, prawie nigdy nie jest narażony na niebezpieczeństwo. W domu, gdzie są rynny, rury wodociągowe i t. p., chcąc uniknąć wszelkiego niebezpieczeństwa — chociaż może być ono niezwykle małe — najlepiej trzymać się w pewnej odległości od ścian, przez co niebezpieczeństwo zupełnie się usuwa. Na wsi, w domu nieosłoniętym drzewami, komin, pełen sadzy, jest dobrym przewodnikiem elektryczności; lepiej więc usunąć się odeń. Człowiek, zaskoczony burzą w polu, powinien iść spokojnie, miarowym krokiem. Nie trzeba biec szybko, ani, tembardziej przystawać, unikać wzgórz i wód (rzeki, stawu), nie chronić się pod osobnione drzewa ani pod parasol. Kto to wszystko ma na względzie, prawie w zupełności unika niebezpieczeństwa.

Od Redakcyi.

Do dzisiejszego numeru dołączamy *Zeszyt lipcowy* dodatku z powieścią M. Zielińskiej „Giermek Zawiszy Czarnego“ (ark. 13—18).

Prenumerata wynosi:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10.**

TREŚĆ: Król przestrzeni, przez J. Verne'a (z ryc.) — Gospodarstwo mrówek (z ryc.) — Wyspa Sachalin (z 2 ryc.) — Zwiwa (wiersz) przez E. Lejową. — Przygody Imię Pana Mikołaja, przez Z. Morawską. — Sprawozdanie z konkursu «Wielkich ludzi». — W kapieli (z ryc.) — Ze świata. — Jak się zachować podczas burzy. — **Dodatek:** Mały bohater, przez B. Buyno (z ryc.) — Czego się kurczątka bały (wiersz) przez I. Mrozowicką. — Czarodziejski bór (obrazek) przez F. M. (dokończenie). — Dziełny Jędrus, przez J. Piasecką. — Zadania i łamigłówki.

Redaktorka **Ludwika Hauke.** Wydawczyni **Marya z Chomentowskich Balińska.**